



# WILBUR SMITH

Bóg Nilu

CYKL EGIPSKI

**R**zeka płynęła ospale przez pustynię, błyszcząca niczym rozpryski płynnego metalu z hutniczego pieca. Niebo dymiło od upału, fale słonecznego żaru były w ziemię z mocą kowalskiego młota. Pod wpływem ich uderzeń posępne wzgórza po obu stronach Nilu drżały w rozgrzanym powietrzu.

Łódź mknęła tuż przy kępach papirusu, wystarczająco blisko, by skrzypienie wiader szadufów, chyboczących się na długich, obciążonych przeciwwagą ramionach, ponad wodą dochodziło z pól do naszych uszu. Ten klekot towarzyszył śpiewowi dziewczyny siedzącej na dziobie łodzi.

Lostris miała czternaście lat. Ostatni wylew Nilu rozpoczął się tego samego dnia, gdy po raz pierwszy zakwitł czerwony kwiat jej kobiecości, co kapłani Hapi uznali za okoliczność wysoce pomyślną. Lostris, kobiece imię wybrane wówczas dla niej miało zastąpić odrzucone już imię dziecięce i oznaczało Córkę Wód.

Jakże wyraźnie pamiętam ją tamtego dnia. Z upływem lat stała się jeszcze piękniejsza, nabrała powagi i królewskich manier, lecz nigdy już nie otaczała jej tak przemożna aura dziewiczej kobiecości. Wszyscy mężczyźni na pokładzie, nawet wojownicy zasiadający na ławkach dla wioślarzy, byli tego świadomi. Żaden z nas nie potrafił oderwać od niej wzroku. Lostris wyzwała we mnie poczucie mej własnej ułomności, a także głębokie i bolesne pragnienie, bo chociaż jestem eunuchem, zanim mnie wykastrowano, poznałem rozkosz kobiecego ciała.

— Taito — zawołała do mnie — zaśpiewaj ze mną!

Gdy usłuchałem, jej uśmiech był pełen radości. Głos stanowił

jeden z wielu powodów, dla których trzymała mnie przy sobie, gdy tylko było to możliwe — mój tenor znakomicie dopełniał jej uroczy sopran. Śpiewaliśmy jedną ze starych chłopskich pieśni, której ją nauczyłem i którą wciąż lubiła najbardziej.

*Me serce trzepoce niczym ranna przepiórka,  
gdy widzę twarz mego ukochanego,  
a moje policzki płoną niczym niebo o świcie,  
rozpalone słonecznym blaskiem jego uśmiechu...*

Kolejny głos przyłączył się do nas od strony steru. Był to głos mężczyzny, głęboki i mocny, lecz brakowało mu jasności i czystości mojego tenora. O ile mój śpiew brzmiał jak pieśń witającego poranek drozda, ten był rykiem młodego lwa.

Lostris obróciła głowę i jej uśmiech rozbłysnął niczym promienie słońca na powierzchni Nilu. Chociaż mężczyzna, dla którego przeznaczony był ten uśmiech, był moim przyjacielem, być może jedynym prawdziwym przyjacielem, poczułem palącą gardło gorzycz zazdrości. A jednak przemogłem się, by podobnie jak Lostris posłać Tanusowi uśmiech pełen miłości.

Ojciec Tanusa — Pianki, księżę Harrab — należał w swoim czasie do egipskiej arystokracji, lecz matka mego przyjaciela była córką wyzwolonego niewolnika Tehenu. Jak wielu z jej ludu, miała jasne włosy i błękitne oczy. Umarła na gorączkę bagienną, gdy Tanus był jeszcze dzieckiem, więc niezbyt dobrze ją pamiętam. Ale stare kobiety mówią, że rzadko spotykało się w obu królestwach podobną urodę.

Znałem i podziwiałem ojca Tanusa, zanim jeszcze utracił całą olbrzymią fortunę i rozległe majątki, które w swoim czasie dorównywały posiadłościom samego faraona. Był mężczyzną o ciemnej skórze i egipskich oczach koloru wypolerowanego obsydianu, więcej w nim tkwiło fizycznej siły niż piękna, lecz serce miał szlachetne i hojne. Niektórzy rzekliby, że aż zanadto hojne i zbyt ufnie, gdyż umarł w nędzy, z sercem złamanym przez tych, których uważał za swoich przyjaciół, samotny wśród mroków, odcięty od słonecznego blasku przychylności faraona.

Tanus odziedziczył po swych rodzicach wszystko co najlepsze, z wyjątkiem ziemskiego majątku. Z natury i siły przypominał swego ojca, urodę wziął po matce. Dlaczego więc miałbym nieprzychylnie spoglądać na miłość mej pani? Ja, nędzna, bezpłciowa

istota, jaką jestem, także go kochałem i wiedziałem, że nawet gdyby bogowie wynieśli mnie ponad stan niewolnika, nigdy nie będę miał jej dla siebie. Lecz człowiecza natura jest już tak pokrętna, że pragnąłem tego, czego nigdy nie będę mógł posiadać, i marzyłem o niemożliwym.

Lostris siedziała na poduszce na dziobie łodzi z niewolnicami u swych stóp. Były to dwie drobne czarne dziewczyny z Kusz, gibkie jak pantery, nagie, jeśli nie liczyć złotych obręczy wokół ich szyi. Miała na sobie jedynie spódniczkę z wybielonego płótna, szeleszczącą i białą jak skrzydło czapli. Jej skóra, pieszczona przez słońce, miała kolor impregnowanego drewna cedrowego z gór wokół Byblos, a piersi przypominały kształtem i rozmiarami dojrzałe, gotowe do zerwania agi, przybrane różowymi granatami.

Perukę używaną podczas uroczystości odłożyła na bok i włosy, związane w długi warkocz, spadały grubym, czarnym sznurem na jedną pierś. Skośność oczu podkreślała srebrzysta zieleń sproszkowanego malachitu, wprawnie nałożonego na górne powieki. Jej oczy również były zielone ciemną, czystą zielenią. Taki odcień przybiera Nil, gdy już opadną jego wody, pozostawiając na polach ładunek cennego mułu. Między piersiami na złotym łańcuchu wisiała statuetka Hapi, bóstwa Nilu, wykonana ze złota i drogocennego lapis-lazuli. Było to niewątpliwe dzieło sztuki, jako że sam ją dla niej zrobiłem.

Nagle Tanus uniósł zaciśniętą prawą dłoń. Wioślarze jak jeden mąż zamarli w pół ruchu, zatrzymując w powietrzu migoczące w słońcu i ociekające wodą pióra wiosła. Wtedy Tanus z całej siły przerzucił wiosło sterowe w bok, a ludzie przy lewej burcie zanurzyli swoje głęboko, napierając wstecz i tworząc całą serię drobnych wirów na powierzchni zielonej wody. Na sterburcie pociągnięto wiosłami energicznie do przodu. Łódź skrzyła tak ostro, że pokład przechylił się niebezpiecznie. Wtedy wioślarze po obu stronach zaczęli pracować równym rytmem i łódź wystrzeliła przed siebie. Ostry dziób, na którym płonęły namalowane błękitne oczy Horusa, rozgarnął gęste zarośla papyrusu, wdzierając się z głównego biegu rzeki na nieruchome wody zakola.

Lostris urwała pieśń i, osłoniwszy oczy, spojrzała przed siebie.

— Tam są! — zawołała, pokazując pełnym gracji ruchem drobnej dłoni.

Pozostałe łodzie z flotylli Tanusa rozrzucone były niczym sieć w południowej części zatoki, przegradzając główne połączenie

z wielką rzeką i odcinając jakąkolwiek drogę ucieczki w tym kierunku.

Tanus oczywiście wybrał dla siebie stanowisko północne, wiedząc, że tam zabawa będzie najlepsza. W duchu żałowałem tego. Nie żebym był tchórzem, lecz moim obowiązkiem jest w pierwszym rzędzie troska o bezpieczeństwo mojej pani. Na pokład „Oddechu Horusa” dostała się jedynie dzięki skomplikowanej intrydze, w samo serce której jak zwykle wciągnęła i mnie. Gdy jej ojciec się dowie — a to nieuniknione — o jej udziale w łowach, będzie ze mną krucho, lecz jeżeli dowie się też, że dopuściłem do tego, by przez cały dzień przebywała w towarzystwie Tanusa, nawet uprzywilejowana pozycja nie uchroni mnie przed jego gniewem. W kwestii tego młodego człowieka otrzymałem jednoznaczne instrukcje.

Byłem jednak chyba jedyną osobą na pokładzie „Oddechu Horusa”, którą dręczył niepokój. Pozostałe drżały z podniecenia. Tanus ledwo dostrzegalnym gestem zatrzymał wioślarzy i łódź wyhamowała ślizg, kołysząc się łagodnie na zielonej wodzie tak spokojnej, że gdy wyrzałem za burtę i zobaczyłem własne odbicie, jak zawsze zdziwiłem się, że moja uroda przetrwała w tak doskonałej formie przez wszystkie te lata. Odniosłem wrażenie, że moja twarz jest piękniejsza od okalającego ją modrego kwiecica lotosu. Z powodu gorączkowej krzątaniny załogi miałem wszakże niewiele czasu, by podziwiać ten widok.

Jeden z oficerów wciągnął na szczyt masztu osobistą chorągiew Tanusa. Widniał na niej wizerunek błękitnego krokodyla o wyprostowanym grzebieniastym ogonie i rozwartych szczękach. Tylko oficerowie w randze dowódcy dziesięciu tysięcy mieli prawo do własnych chorągwi. Tanus otrzymał ten stopień przed ukończeniem dwudziestego roku życia i powierzono mu dowództwo pułku Błękitnych Krokodyli, elitarnej gwardii samego faraona.

Chorągiew na szczycie masztu stanowiła sygnał rozpoczęcia polowania. Z tej odległości stojące w głębi zatoki pozostałe łodzie flotylli wydawały się maleńkie. Teraz ich wiosła zaczęły uderzać rytmicznie, podnosić się i opadać, połyskując w słońcu jak skrzydła dzikich gęsi w locie. Niezliczone drobne fale powstające za rufami pomknęły po spokojnej wodzie i przez długi czas pozostały na powierzchni jak utoczone z gliny.

Tanus opuścił gong za rufę. Była to długa tuba z brązu. Jeden jej koniec zanurzył pod wodę. Gdy zostanie uderzona młotkiem z tego samego metalu, ostre, przenikliwe dźwięki poniosą się przez wodę

i spłoszą naszą zwierzynę. Mój spokój mąciła świadomość, że niepewność zwierząt łatwo może się przerodzić w morderczą furję.

Tanus roześmiał się. Mimo swego podniecenia zdołał wyczuć moje obawy. Jak na żołnierza obdarzony był niezwykle spostrzegawczością.

— Wejdz na wieżę rufową, Taito! — rozkazał. — Będziesz bił w gong. Przynajmniej choć na chwilę przestaniesz zaprzętać sobie głowę strachem o swoją delikatną skórę.

Zabolał mnie ten brak powagi, lecz wezwanie przyniosło mi ulgę, jako że wieża rufowa wznosiła się wysoko nad wodą. Ruszyłem powolnym, pełnym godności krokiem, by wykonać polecenie. Mijając Tanusa, zatrzymałem się i upomniałem go surowo:

— Weź pod uwagę bezpieczeństwo mojej pani. Słyszysz, chłopcze? Nie zachęcaj jej do nierozwagi, bo jest tak samo lekkomyślna jak ty.

Mogłem sobie pozwolić na zwracanie się w ten sposób do prześwietnego dowódcy dziesięciu tysięcy, bo niegdyś był moim uczniem i nieraz zmierzyłem trzcina szerokość jego żołnierskich pośladków. Uśmiechnął się teraz do mnie krzywo — jak w owych dniach — bezczelnie i zuchwale.

— Pozostaw tę panią pod moją opieką, zaklinam cię, stary druhu. Zaręczam ci, że nic nie sprawi mi większej radości.

Nie skarciłem go za pozbawiony szacunku ton, gdyż spieszyłem się nieco, by zająć miejsce na wieży. Stamtąd patrzyłem, jak Tanus podnosi swój łuk.

Łuk ten zyskał już sławę w armii na całej długości rzeki, od katarakt do morza. Zaprojektowałem go, gdy Tanusowi przestało wystarczać nędzne uzbrojenie, jakim się dotąd posługiwał. Zasugerowałem wtedy, że powinniśmy spróbować sporządzić łuk z jakiegoś nowego materiału, innego niż mizerne drzewa rosnące w naszej wąskiej rzecznej dolinie — być może z egzotycznego drewna, takiego jak pień oliwki z krainy Hetytów lub kuszycki heban czy z dziwniejszych jeszcze materiałów; rogu nosorożca, czy słoniowych kłów.

Zaledwie podjęliśmy pracę, natrafiliśmy na tysiące kłopotów, z których pierwszym była kruchość tych egzotycznych tworzyw. W stanie naturalnym wszystkie łamały się przy zginaniu i jedynie największe, a zatem i najdroższe, słoniowe kły pozwalały na wycięcie z nich kompletnego łączyska. Oba te problemy rozwiązałem, rozszczepiając mniejszy kieł i sklejając tak uzyskane

fragmenty tak długo, dopóki nie uzyskałem wystarczającej wielkości. Niestety łuk okazał się o wiele za sztywny, by mógł go naciągnąć jakikolwiek człowiek.

Niemniej później łatwo już było skleić warstwami wszystkie cztery rodzaje materiału — drewno oliwne, heban, róg oraz kość słoniową. Oczywiście wiele miesięcy pochłoneły próby znalezienia właściwej kombinacji tych materiałów i eksperymenty z przeróżnymi typami kleju, który miał związać je w całość. Nigdy nie udało nam się znaleźć wystarczająco mocnego. W końcu usunąłem tę ostatnią przeszkodę, obwiązując całe łączysko drutem z elektrom, by uchronić je przed rozpadnięciem się na kawałki. Gdy klej był jeszcze gorący, dwóch silnych mężczyzn pomagało Tanusowi w okręcaniu łączyska tym drutem. Kiedy łuk ostygł, wytworzył prawie idealną kombinację siły i giętkości.

Wówczas wyciąłem pasma z jelit wielkiego, czarnogrzywego lwa wytopionego i upolowanego przez Tanusa na pustyni za pomocą dzidy o grocie z brązu. Następnie wygarbowałem je i skrzyłem z nich cięciwę. W końcu powstał ten lśniący łuk o tak nadzwyczajnej mocy, że jeden tylko człowiek z setek, którzy tego próbowali, był w stanie w pełni go naciągnąć.

Przepisowy styl strzelania, jakiego nauczają łuczników armijni instruktorzy, nakazuje zwrócić się ku celowi i przyciągnąć do mostka nałożoną na cięciwę strzałę, wytrwać w tej pozycji przez chwilę i wystrzelić na rozkaz. Ale nawet Tanus nie dysponował wystarczającą siłą, by naciągnąć swój łuk i utrzymać nieruchomo. To zmusiło go do wypracowania zupełnie odmiennej metody. Stając boki do celu, zwracając się ku niemu ponad lewym ramieniem, podrywał łuk ku górze wyprostowaną lewą ręką i gwałtownym szarpnięciem naciągał cięciwę, dopóki upierzone lotki nie dotknęły warg, a mięśnie ramion i piersi nie nabrzmiały od wysiłku. W tym momencie cięciwa była całkowicie napięta i wtedy, pozornie bez mierzenia, zwalniał ją.

Początkowo strzały mknęły we wszystkich kierunkach niby dzikie pszczoły opuszczające gniazdo, lecz Tanus ćwiczył dzień za dniem i miesiąc za miesiącem. Palce prawej dłoni pokryły się otwartymi, krwawiącymi ranami od ocierającej się cięciwy, lecz z czasem zagoiły się i stwardniały. Wewnętrzną stronę lewego przedramienia zdobiły sińce i otarcia od uderzeń cięciwy po zwolnieniu strzały, wymyśliłem więc skórzaną osłonę. Tanus stał na strzelnicy i ćwiczył bez końca.

Nawet ja straciłem wiarę w jego zdolność opanowania tej broni, lecz on się nie poddawał. Wolno, boleśnie wolno, zdobywał nad nią pełną kontrolę i w końcu potrafił wystrzelić trzy strzały tak szybko, że wszystkie znajdowały się jednocześnie w powietrzu. Przynajmniej dwie trafiały w cel — ustawiony w odległości pięćdziesięciu kroków miedziany dysk wielkości ludzkiej głowy — z takim impetem, że bez trudu przebijały warstwę metalu grubości mojego małego palca.

Tanus nadał tej potężnej broni imię Lanata. Całkowity zbieg okoliczności sprawił, że było to odrzucone dziecięce imię mojej pani. Teraz stał na dziobie łodzi z kobietą u boku i jej imiennikiem w lewej dłoni. Stanowili tak wspaniałą parę, że nie mogłem spoglądać na nich bez niepokoju.

— Pani! Przyjdź tutaj natychmiast! Tam, gdzie stoisz, jest niebezpiecznie — krzyknąłem ostro.

Lostris nie raczyła nawet spojrzeć przez ramię, lecz za plecami wykonała lekceważący gest. Widziała to cała załoga, a najśmielsi parsknęli rubasznym śmiechem. Tego gestu, pasującego raczej do dam z nadrzecznych tawern niż do wysoko urodzonej córki Domu Intef, musiała się nauczyć od jednej z tych małych czarnych lisic, jej służebnic. Zastanawiałem się, czy zrobić jej z tego powodu wymówkę, lecz natychmiast odrzuciłem to nieroztropne rozwiązanie, jako że moja pani zdolna jest do powściągliwości jedynie w niektórych nastrojach. By ukryć moje rozdrażnienie, oddałem się energicznemu biciu w brązowy gong.

Przenikliwy, dźwięczny ton poniósł się po szklistej wodzie zatoki i natychmiast powietrze wypełniło się szumem skrzydeł. Olbrzymia chmura wodnego ptactwa wzbiła się w niebo z kęp papirusu, ukrytych stawów i otwartej toni, zasłaniając słońce. Były tam setki najprzeróżniejszych gatunków: poświęcone bóstwu rzeki czarne i białe ibisy o sępich głowach, hałaśliwe stada rdzawo upierzonych gęsi o rubinowych plamkach na piersiach, zielonkawoblękitne albo czarne mrokiem nocy czaple o dziobach jak miecze, ociężałe bijące powietrze skrzydłami, wreszcie kaczki w takiej obfitości, że ich liczba wystawiała na próbę oko i wiarę obserwatora.

Szlachetnie urodzeni Egipcjanie oddają się łowom na ptaki z wielką żarliwością, lecz tego dnia interesowała nas inna zwierzyzna. Daleko przed nami na gładkiej powierzchni wody dostrzegłem plamę. Była masywna, przemieszczała się ospale, więc moje serce zadrżało, gdyż wiedziałem, co za potworna bestia tam się



poruszyła. Tanus także ją zauważył, lecz jego reakcja całkowicie różniła się od mojej. Szczeknął niczym pies myśliwski, a jego ludzie krzyknęli wraz z nim i pochylili się nad wiosłami. „Oddech Horusa” wystrzelił w przód, jakby był jednym z ptaków zaciemniających niebo nad nami, moja pani zaś zapiszczała z podniecenia i uderzyła drobną piąstką w umięśnione ramię Tanusa.

Woda zmaciła się raz jeszcze i Tanus zasygnalizował sternikowi, by podązał w tamtą stronę, podczas gdy ja łomotałem w gong, by przywołać i utrzymać odwagę. Dotarliśmy na miejsce, w którym ostatnio dostrzegliśmy ruch, i okręt powoli stanął, a każdy człowiek na jego pokładzie rozglądał się pilnie dookoła.

Ja jeden spoglądałem prosto za rufę. Woda pod naszym kadłubem była płytka i nieomal równie przejrzysta jak niebo nad głowami. Krzyknąłem tak głośno i piskliwie jak przed chwilą moja pani, a potem odskoczyłem od barierki, gdyż potwór znajdował się bezpośrednio pod „Oddechem Horusa”.

Hipopotam to domownik Hapi, bóstwa Nilu. Tylko za specjalną zgodą mogliśmy na niego polować. Aby ją uzyskać, tego ranka Tanus, z moją panią u boku, modlił się i składał ofiarę w świątyni. Oczywiście Hapi jest jej patronem, lecz wątpię, czy tylko z tego powodu Lostris tak chętnie wzięła udział w ceremonii.

Zwierzę, które ujrzalem pod nami, było olbrzymim starym samcem. Wydawał mi się równie wielki jak nasza łódź. Gigantyczny kształt stąpający ciężko po dnie zatoki, spowolniany oporem wody poruszał się niczym stworzenie z nocnego koszmaru. Nogami unosił kłęby mułu podobnie jak dzika antylopa wzbijająca kurz podczas biegu przez pustynne piaski.

Tanus obrócił łódź wiosłem sterowym i podążyliśmy w ślad za samcem. Lecz on tym swoim statecznym i miarowym truchtem oddalił się od nas. Ciemny kształt rozplynał się w zielonej głębi zatoki.

— Wiosłować! Na zgniły oddech Setha, wiosłować! — wrzasnął Tanus do swoich ludzi.

Gdy jednak jeden z oficerów potrząsnął zakończonym węzłami rzemieniem bicia, Tanus zmarszczył brew i pokręcił głową. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć, by uciekał się do tego środka, jeśli nie było to potrzebne.

Nagle samiec wyłonił się przed nami na powierzchnię, wypuszczając z płuc wielką chmurę cuchnącej pary. Smród doleciał nas, chociaż wciąż znajdowaliśmy się od bestii dalej niż na odległość

strzału z łuku. Przez moment grzbiet zwierzęcia tworzył lśniąca granitową wyspę na zatoce, a później hipopotam nabrał tchu i wśród zawirowań wody ponownie zniknął nam z oczu.

— Za nim! — krzyknął Tanus.

— Tu jest! — zawołałem, wskazując za burtę. — Zawraca!

— Brawo, stary druhu — zaśmiał się Tanus. — Jeszcze zrobimy z ciebie wojownika.

Ten pomysł był śmiechu wart, gdyż jestem pisarzem, mędrceem i artystą preferującym heroiczne czyny umysłu. Niemniej, poczułem dreszcz zadowolenia, jak zwykle na dźwięk pochwały z ust Tanusa, i mój niepokój przynajmniej na chwilę rozmył się w podnieceniu wywołanym pościgiem.

Na południe od nas pozostałe łodzie przyłączyły się do łowów. Kapłani Hapi prowadzili ścisłą ewidencję liczby hipopotamów żyjących w zatoce i wyrazili zgodę na zabicie pięćdziesięciu dla potrzeb związanych z nadchodzącym świętem Ozyrysa. W ten sposób w świątynnej zatoce pozostanie będące własnością bóstwa stado złożone z prawie trzystu sztuk. Tę liczbę kapłani uważali za najwłaściwszą, by drogi wodne były wolne od wodorostów, papirus nie zarastał uprawnej ziemi, a świątynia miała zapewnione regularne dostawy mięsa. Poza dziesięciodniowym okresem obchodów święta Ozyrysa tylko kapłanom wolno było spożywać mięso hipopotama.

Łowy trwały w zatoce niczym jakiś skomplikowany taniec, w którym łodzie flotylli tworzyły figury i wykonywały piruety, podczas gdy spłoszone bestie umykały przed nimi, nurkując, prychając i chrząkając lub wynurzały się, by zanurkować raz jeszcze. Lecz za każdym razem okres przebywania pod wodą był krótszy od poprzedniego, a wirujące rozpryski na powierzchni coraz częstsze. Zwierzętom brakowało tchu, lecz ścigające je łodzie zmuszały bestie do powtórnego zanurzenia, zanim te zdążyły zaczerpnąć powietrza. Na wieży rufowej każdej łodzi przez cały czas dźwięczały brązowe gongi, ich dźwięk zlewał się z okrzykami wioślarzy i ponagleniami sterników. Panował tak dziki zgiełk i zamieszanie, iż stwierdziłem, że sam krzyczę i dopinguję myśliwych na równi z najbardziej żądnymi krwi spośród nich.

Tanus całą uwagę skupił na pierwszym, największym samcu. Na samice i młodsze zwierzęta wynurzające się w zasięgu strzału nie zwracał uwagi i śledził wszystkie manewry wielkiej bestii, nieubłaganie zbliżając się do niej za każdym razem, gdy wyłaniała się na powierzchnię. Nawet w stanie podniecenia, w jakim się

znajdowałem, nie mogłem nie podziwiać wprawy, z jaką manewrował „Oddechem Horusa”, i sposobu, w jaki załoga reagowała na jego sygnały. Ale cóż, Tanus zawsze miał talent do wykorzystywania w pełni umiejętności tych, którymi dowodził. Jakże w przeciwnym razie, bez majątku i potężnego protektora, który by go otaczał opieką, mógłby zdobyć tak szybko równie odpowiedzialne stanowisko? To, co osiągnął, zawdzięczał własnym zasługom, i to pomimo złośliwych intryg ukrytych wrogów, którzy stawiali na jego drodze najprzeróżniejsze przeszkody.

Nagle samiec wyrwał się na powierzchnię nie dalej niż trzydziści kroków przed dziobem. Wyłonił się, błyszcząc w słońcu, wielki czarny i przerażający, a chmury pary tryskały z jego nozdrzy. Wyglądał jak owo stworzenie z zaświatów, pożerające serca tych, których bogowie uznają za niegodnych.

Tanus trzymał strzałę nałożoną na cięciwę, teraz więc poderwał wielki łuk i posłał ją w mgnieniu oka. Lanata zagrała swą złowieszczą, burkliwą melodię, a strzała pomknęła prawie niewidoczna dla oka. Świszczała jeszcze w locie, a już podążała za nią następna i jeszcze jedna. Cięciwa brzęczała niczym struny lutni, a groty uderzyły jeden po drugim. Samiec czując, jak wchodzi głęboko w jego szeroki grzbiet, ryknął i zanurkował ponownie.

Zaprojektowałem te strzały specjalnie na tę okazję. Usunięto z nich pierzaste lotki i zastąpiono małymi pływakami z baobabu, jakich rybacy używają przy swych sieciach jako bojek. Zamocowano je w ten sposób, że podczas lotu trzymały się strzały, lecz wyczepiały się, gdy trafiona bestia nurkowała, toteż wlokła je za sobą po wodzie. Z grotem z brązu wiązała je cienka lniana nitka owinięta wokół brzechwy, która powinna się rozplątać wraz ze zwolnieniem pływaków. Teraz więc, gdy samiec pędził pod wodą, trzy drobne pływaki wyskoczyły na powierzchnię, podskakując na falach w ślad za nim. Pomalowałem je na jaskrawożółty kolor, tak że przyciągały wzrok i natychmiast zdradziły pozycję hipopotama, chociaż krył się w głębinach zatoki.

Dzięki temu Tanus mógł przewidzieć każdą dziką szarżę bestii i tak pokierować „Oddechem Horusa”, by przeciąć mu drogę i umieścić następną garść strzał w połyskującym czarnym grzbiecie, gdy ten wynurzał się z odmętów. Teraz samiec włókł już za sobą wianuszek zgrabnych żółtych pływaków, a po wodzie snuły się za nim smużki krwi. Chociaż byłem bardzo podekscytowany łowami, nie mogłem nie żałować ranionego stworzenia za każdym razem,

gdy rycząc, wynurzało się na powierzchnię tylko po to, by napotkać następny deszcz zabójczych, świszczących strzał. Moja pani nie podzielała tego współczucia. Pochłonięta wirem walki, pokrzykiwała piskliwie czarując wystraszona starciem.

Raz jeszcze samiec wynurzył się prosto przed dziobem, lecz tym razem zwrócony ku gnającemu nań „Oddechowi Horusa”. Jego szczęki rozwarły się tak szeroko, że mogłem zajrzeć mu głęboko w gardziel. Był to tunel o ścianach z jasnoczerwonego ciała, mogący bez trudu pochłonąć całego człowieka. Szczęki wyposażone zostały w takie uzębienie, że wstrzymałem oddech, czując nagły chłód. W dolnej szczęce widniały wielkie sierpy, przeznaczone do zbierania opornych i mocnych łodyg papirusu. W górnej tkwiły połyskliwe białe kolumny grubości mego nadgarstka, mogące przebić się przez drewno kadłuba „Oddechu Horusa” równie łatwo jak moje zęby przez placek z pszennej mąki. Niedawno miałem możliwość przyjrzenia się ciału wieśniaczki, która zbierając papirus nad rzeką spłoszyła samicę hipopotama, chroniącą ledwie co urodzone małe. Kobieta została rozcięta na połowy tak czysto, jakby uderzyło ją najlepsze ostrze z brązu.

I teraz ten rozwścieczony potwór o pysku wypełnionym błyszczącymi zębiskami gnał ku nam i, chociaż znajdowałem się wysoko na wieży, tak daleko od niego, jak to tylko było możliwe, stwierdziłem, że niczym świątynny posąg z przerażenia niezdolny jestem do wykonania jakiegokolwiek ruchu czy wydania dźwięku.

Tanus wypuścił jeszcze jedną strzałę, która pomknęła wprost w rozwarte gardło, lecz stworzenie cierpiało już straszliwie, więc chyba nawet nie zauważyło kolejnej rany, choć ostatecznie musiała się okazać śmiertelna. Hipopotam szarżował bez wahania pełną szybkością wprost na dziób „Oddechu Horusa”. Z obolałej gardzieli wydarł się przerażający ryk wściekłości i potwornej męczarni, gdzieś w jej głębi pękła arteria i strumień krwi chlusnął wachlarzem pomiędzy rozwartych szczęk. Tryskająca krew w słońcu przemieniła się w obłoki czerwonej mgły, tyleż piękne co straszne. Potem samiec z impetem uderzył w dziób naszej łodzi.

„Oddech Horusa” rozcinał wodę z prędkością biegnącej gazeli, lecz rozszałały hipopotam był jeszcze szybszy, a na dodatek tak masywny i ciężki, iż odniosłem wrażenie, że weszliśmy na skalistą mieliznę. Wioślarzami cisnęło, pospadali z ławek, ja poleciałem do przodu, uderzyłem o balustradę wieży, co odebrało mi dech w piersiach i napełniło ciężkim kamiennym bólem.

A jednak nawet mimo cierpienia obawiałem się jedynie o moją panią. Przez łzy bólu ujrzałem, jak siła zderzenia popycha ją naprzód. Tanus wyciągnął rękę, starając się uratować Lostris, lecz on także pod wpływem uderzenia stracił równowagę, a ponadto przeszkadzał mu łuk, który ciągle dzierżył w lewej dłoni. Zaledwie przez moment zdołał przytrzymać moją panią. Potem Lostris zatoczyła się na balustradę, wymachując desperacko ramionami, i mocno przechyliła się przez burtę.

— Tanusie! — krzyknęła, wyciągając ku niemu rękę.

Tanus odzyskał równowagę ze zwinnością akrobaty i spróbował chwycić jej dłoń. Przez mgnienie oka ich palce stykały się, a potem, jakby popchnięta niewidzialną siłą, Lostris wypadła za burtę.

Z mojego wysoko umieszczonego stanowiska widziałem, jak spadała. Obróciła się w powietrzu niczym kot i białe spódniczki zatrzepotały, odsłaniając nie zrównaną długość ud. Wydawało mi się, że ten upadek trwa całą wieczność, i mój pełen bólesci okrzyk mieszał się z jej rozpaczliwym wrzaskiem.

— Moja dziecinka! — zawołałem. — Moja maleńka!

Byłem przekonany, że ją utraciłem. Całe jej życie, tak jak je pamiętałem, przesunęło mi się przed oczyma. Zobaczyłem ją ponownie jako kroczącego niepewnie berbecia, usłyszałem dziecięce czułe słówka, jakimi obdarzała mnie, pełnego uwielbienia piastuna. Ujrzałem ją wyrastającą na kobietę, przypomniałem sobie wszystkie radości i strapienia, jakich mi przysporzyła. W tym momencie kochałem ją bardziej niż przez te długie czternaście lat.

Spadła na wielki, zbryzgany krwią grzbiet rozwścieczonego samca i przez mgnienie oka leżała z rozpostartymi ramionami niczym ludzka ofiara złożona na ołtarzu jakiejś plugawej religii. Hipopotam okręcił się w miejscu, wychylając się mocno ponad wodę, i przegiął swój wielki niekształtny łeb do tyłu, by jej dosięgnąć. Gdy olbrzymie szczęki zatrzasnęły się głośno, z nabiegłych krwią świńskich oczu biła szaleńcza furia.

Jakimś sposobem Lostris zdołała otrząsnąć się z szoku i złapać dwie brzechwy wystające niczym uchwyty z szerokiego grzbietu samca. Leżała z szeroko rozłożonymi ramionami i nogami. Nie krzyczała już, bo cała siła i zręczność potrzebna jej była do utrzymania się przy życiu. Zakrzywione zębiska biły dźwięcznie o siebie jak tnące powietrze ostrza pojedynkujących się wojowników. Za każdym uderzeniem chybiły jedynie o włos i spodziewałem się, że w każdej chwili mogę ujrzeć jedną z ślicznych

kończyn mojej pani odciętą niczym delikatny pęd winorośli, jej słodką młoda krew mieszającą się z posoką spływającą z ran samca.

Stojący na dziobie Tanus szybko oprzytomniał. Przez moment ujrzałem jego twarz i był to przerażający widok. Odrzucił beużyteczny w tej chwili łuk, złapał rękojeść miecza i wyrwał go z pochwy z krokodylej skóry. Lśniący brąz długości jego ramienia wyostrzony był tak dalece, że mógł ścinać włoski z dłoni.

Tanus wskoczył na okrężnicę i stanął na niej, przez moment przyglądając się dzikiemu wirowaniu śmiertelnie ранego samca. Potem rzucił się do przodu i opadł niczym nurkujący sokół ze skierowanym w dół, trzymanym w obu dłoniach mieczem.

Wylądował w rozkroku na grubym karku samca, jakby zamierzał wjechać na nim do świata umarłych. Z całym impetem tego szaleńczego skoku uderzył mieczem, przelewając nań wagę swego ciała. Ostrze na pół długości zanurzyło się w karku hipopotama u nasady czaszki, a Tanus, usadowiony na nim jak jeździec, wkręcał i wypychał ostrą klingę głębiej i głębiej, używając obu rąk i siły szerokich ramion. Samiec wpadł w szal. Jego poprzednie wysiłki były niczym w porównaniu z tą świeżą eksplozją. Wystawił nad powierzchnię większość swej olbrzymiej masy, ciskając łbem z boku na bok i wyrzucając wysoko w powietrze strugi wody, które spadały na pokład łodzi, tworząc kurtynę prawie kompletnie przesłaniającą mi widok.

Przez cały ten czas przyglądałem się rzucanej bezlitośnie na boki parze na grzbiecie potwora. Z trzaskiem złamała się jedna brzechwa i Lostris o mało nie spadła. Gdyby tak się stało, samiec bez wątpienia by ją zmasakrował i rozszarpał na skrwawione kawałki. Tanus sięgnął za siebie, chwycił ją, przytrzymał, a prawą ręką bezustannie wypychał brązowe ostrze w kark hipopotama.

Nie mogąc ich dosięgnąć, hipopotam uderzał we własne boki, zadając sobie straszliwe, głębokie rany, tak że woda na pięćdziesiąt kroków od łodzi zarumieniła się od posoki, a bryzgająca krew od stóp do głów pokryła purpurą Lostris i Tanusa. Ich twarze zmieniły się w groteskowe maski o pałających białą oczach.

Gwałtowne przedśmiertne podrygi samca przeniosły ich daleko od burty. Ja pierwszy spośród znajdujących się na pokładzie odzyskałem rozsądek.

— Za nimi! — wrzasnąłem do wioślarzy. — Nie pozwólcie im się oddalić!

Skoczyli ku swoim stanowiskom, rzucając „Oddech Horsa” w pogoń.

W tejże chwili ostrze miecza Tanusa musiało chyba sięgnąć szczeliny między kręgami w karku potwora. Olbrzymie cielsko zeszytniało i zamarło. Hipopotam przekreślił się na grzbiet, prostując sztywno wszystkie cztery nogi, i zniknął w wodach zatoki, pociągając ze sobą w głębinę Lostris i Tanusa.

Zduśliłem wzbierający w gardle jęk rozpaczcy i wykrzyknąłem rozkaz ku pokładowi:

— Cała wstecz! Nie staranujcie ich! Pływacy na dziób! — Nawet mnie samego zaskoczyła moc i władczość mego głosu.

Łódź została zatrzymana i, zanim zdążyłem zastanowić się nad roztropnością moich czynów, znalazłem się na czele gnających po pokładzie niezdarnych wojowników. Bez wątpienia przyglądaliby się bez żalu, jak tonie każdy inny oficer, lecz nie Tanus.

Zrzuciłem już spódniczkę i zostałem nagi. Nawet groźba stu biczów nie zmusiłaby mnie do uczynienia tego w innych okolicznościach, gdyż tylko jednej osobie pozwoliłem ujrzeć rany zadane mi tak dawno temu przez państwowego kata. Ujrzał je ten, kto polecił użyć na mnie kastrującego noża. Lecz teraz choć raz byłem kompletnie nieświadomy potwornego okaleczenia mej męskości.

Jestem dobrym pływakiem i chociaż z perspektywy czasu taka nieroztropność przyprawia mnie o dreszcze, niezachwianie wierzę, że skoczyłbym za burtę i zanurkował w skrwawioną wodę, próbując uratować moją panią. Gdy jednak szykowałem się do skoku z balustrady, woda rozstała się i na powierzchnię wyskoczyły dwie głowy, tak blisko siebie jak para kopulujących wydr. Jedna była ciemna, druga zaś jasna, lecz od obu dobiegał najmniej oczekiwany dźwięk, jaki w tego rodzaju okolicznościach zdarzyło mi się słyszeć. Śmiech. Tanus i Lostris rechotali, piszczeli i parskali śmiechem, brnąc ku burcie okrętu tak ciasno spleceni ramionami, że w moim przekonaniu poważnie groziło im, że się nawzajem potopią.

Cały mój niepokój momentalnie przemienił się w gniew na ich lekkomyślność i moją horrendalną głupotę, jakiej o mały włos nie popełniłem. Niczym matka, której pierwszym odruchem po odnalezieniu zagubionego dziecka jest złożenie mu skóry, usłyszałem, że mój głos traci swą uprzednią głęboką władczość i staje się piskliwy i pełen irytacji. Wymyślałem mojej pani, używając całej swojej sławnej elokwencji, gdy tuzin pomocnych dłoni wyciągał ją i Tanusa z wody na pokład.

— Ty nierozważna, nieokrzesa dzikusko! — pomstowa-

łem. — Ty bezmyślna, samolubna, niezdyscyplinowana łobuzico! Przysięgałaś mi! Złożyłaś przysięgę na dziewiczość bóstwa...

Lostris podbiegła do mnie i zarzuciła mi ręce na szyję.

— Och, Taito! — zawołała, wciąż trzęsąc się ze śmiechu. — Widziałeś to? Widziałeś, jak Tanus skoczył mi na ratunek? Czyż nie był to najszlachetniejszy czyn, o jakim słyszałeś? Zupełnie jak bohater twoich najlepszych opowieści.

Na to, że ja byłem o krok od dokonania podobnie heroicznego czynu, nie zwróciła najmniejszej uwagi, co jedynie powiększyło moją irytację. W dodatku nagle zorientowałem się, że Lostris zgubiła spódniczkę i że jej chłodne, mokre ciało przyciśnięte do mojego jest kompletnie nagie. Na prostackie spojrzenia oficerów i żołnierzy wystawiała najzgrabniejszą, najjędrniejszą parę pośladków w całym Egipcie.

Porwałem najbliższą tarczę i osłoniłem nią nasze ciała, jednocześnie wołając na jej niewolnice, by znalazły swej pani inną spódniczkę. Ich chichoty jedynie podsyciły moją złość, toteż gdy tylko Lostris i ja byliśmy ponownie przyzwolicie okryci, napadłem na Tanusa:

— Co do ciebie, lekkomyślny zbój, doniosę na ciebie księciu Intefowi! On każe wybatożyć cię do kości!

— Nic takiego nie zrobisz — zaśmiał się Tanus i objął me barki mokrym, umięśnionym ramieniem, ściskając tak mocno, że uniósł mnie w powietrze — bo równą radość sprawiłoby mu wybatożenie ciebie. Niemniej jednak, dziękuję ci za troskę, stary druhu.

Rozejrzał się szybko, wciąż obejmując mnie ramieniem, i zmarszczył czoło. „Oddech Horusa” oddzielił się od reszty flotylli, lecz łowy były już skończone. Każda łódź z wyjątkiem naszej zdobyła swoją część usankcjonowanego przez kapłanów łupu.

Tanus potrząsnął głową.

— Nie wykorzystaliśmy naszej szansy, prawda? — mruknął i rozkazał jednemu z oficerów podnieść na maszt proporzec stanowiący sygnał zbiórki dla flotylli. Potem zmusił się do uśmiechu. — Napocznijmy wspólnie dzban piwa, jako że musimy teraz chwilę poczekać, a była to powodująca pragnienie praca.

Odwrócił się i przeszedł na dziób, gdzie niewolnice krzątały się wokół Lostris. Początkowo byłem nadal tak rozzłoszczony, że postanowiłem nie przyłączać się do zaimprovizowanego posiłku na pokładzie. Zamiast tego z wyniosłą godnością pozostałem na rufie.



— Och, pozwól mu się trochę podąsać — usłyszałem sceniczny szept Lostris do Tanusa, gdy napełniała jego puchar pianistym piwem. — Staruszek porządnie się przestraszył, ale minie mu to, kiedy zgłodnieje. Przecież tak uwielbia jeść.

Moja pani to uosobienie niesprawiedliwości. Nigdy się nie dąsam, nie jestem żarłokiem, a miałem wówczas zaledwie trzydzieści lat, choć dla czternastolatki każdy człowiek powyżej dwudziestki to starzec. Przyznaję, że w sprawach jedzenia posiadam wyrafinowane podniebienie smakosza. Dobrze o tym wiedziała, pieczona dzika gęś z figami, którą mi ostentacyjnie pokazała, była jednym z moich ulubionych dań.

Pozwoliłem im cierpieć jeszcze przez chwilę. Dopiero gdy Tanus osobiście przyniósł mi dzban piwa, używając całego swego uroku, by mnie ułagodzić, raczyłem nieco ustąpić i dałem mu się zaprowadzić na dziób. Mimo to wciąż traktowałem ich dość chłodno, dopóki Lostris nie pocałowała mnie w policzek, mówiąc tak głośno, by wszyscy słyszeli:

— Moje dziewczęta powiadają, że przejąłeś dowództwo łodzi niczym weteran i że skoczyłbyś za burtę, by mnie ratować. Och, Taito, co ja bym bez ciebie zrobiła?

Wówczas uśmiechnąłem się do niej i przyjąłem plaster gęsiny, który mi wciskała. Smakował wybornie, a piwo było trzypalmowej jakości. Niemniej jednak, jadłem oszczędnie, gdyż muszę zważać na figurę, a poza tym wcześniejsza uwaga na temat mojego apetytu wciąż jeszcze trochę bolała.

Flotylla Tanusa rozrzucona była szeroko po zatoce, lecz teraz poczęła się przegrupowywać. Zauważyłem, że kilka innych łodzi, tak jak nasza, również zostało uszkodzonych. Dwa okręty zderzyły się w trakcie gorączkowego pościgu, a cztery inne zostały zaatakowane przez zwierzynę. Mimo to łodzie skupiły się szybko i zajęły pozycje bojowe. Później w szyku torowym przeszły obok nas z trzepoczącymi na masztach sznurami kolorowych proporców, obwieszczającymi wielkość zdobyczy. Załogi wznosiły okrzyki, mijając „Oddech Horusa”. Tanus pozdrowiał je zaciśniętą pięścią, a sztandar Błękitnych Krokodyli powiewał na szczycie masztu, zupełnie jakbyśmy dopiero co odnieśli wiekopomne zwycięstwo nad przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Był to być może chłopięcy popis, lecz wciąż jest we mnie dość z chłopca, by bawił mnie wojskowy ceremoniał.

Gdy tylko zakończyła się ta parada, okręty powróciły na stano-